

razu... Papieros jej zagasił, zapaliła go więc znowu i mówiła:

— Panu nie bardzo chodzi o mnie? Nie! to widać! Pan jest czem innym przejęty! Wszystko więc da się załatwić. Myślę już o tem od dwóch tygodni! Mam ja swój rozum! Joe Duncan, ojciec Williama, to jakiś szalony człowiek, który nie igra z miłością. Przeciw sile niema oporu. Ja kocham Williama, dbam jednak i o swoją skórę, a pan zna przecież milionera.

— Nie wątpię — potwierdziłem — iż dla przeszkodzenia małżeństwu między panią a synem, może posunąć się do zbrodni!

— Tak, tak! aż do zbrodni!... Pan zaś rozumie, że nie na próżno mam lat dwadzieścia pięć i chęć do życia.

— Zwłaszcza, że pani nie kocha tak Williama, jak o tem mówi!

— Owszem, lecz, ma się rozumieć, nie do tego stopnia.

I to się nazywa zakochana! pomyślałem. Co za głupiec ten William, jak każdy człowiek oślepiiony namiętnością jest głupi! Sprawiała teraz wrażenie, jakby przez kłęby dymu z papierosa śledziła jakąś myśl. Po chwili ciekawa, żadna informacja, dała mi z nienacka pytanie:

— Ile Joe Duncan daje panu za podobną sprawę?

— Dwieście tysięcy dolarów.

— Ileż to jest franków?

— Coś około miliona!

Roztworzyła seroko oczy pełne chciwości... Potem podniosła się jednym ruchem z kanapy i poprawiając sobie fałdy sukni, zawołała z oburzeniem:

— Bydlę! a mnie tylko ocenił na pięćdziesiąt tysięcy. W takim razie ja dla niego nie jestem więcej warta!...

Oh! odrzekłem... Taki przemysłowiec jak król papierowy, zna wartość pieniędzy.

Lucya Weill była bardzo piękna, rzeczywiście bardzo piękna... Nie była tylko bardzo subtelną... Na odpowiedź moją nie zwróciła żadnej uwagi... Jej wspaniałe oczy zaciemniły się, brwi nachmurzyły się... Jej łagodne i wdzięczne spojrzenie nabrało jakiegoś ostrygo wyrazu. Miły głos stał się ochryplym... Popatrzyła mi prosto w twarz i rzekła z żalną miną:

— Ah! master Brentano!... Milion... Naprawdę?... Ah! Jonatanie! żebyś ty miał przynajmniej dwadzieścia osiem lat jak... William!

I ruchem pełnym dźwięku i wstydlivości, siadła mi na kolana, ręce zarzuciła mi na szyję, a głowę swą wsparła na mem ramieniu.

Tymczasem na progu salonu ukazał się niespodziewanie Joe Duncan. Na widok uścisku, jakim byłem opleciony, zatarł znowu ręce i zawołał, śmiejąc się:

— Co za czułą parę stanowicie!

Wdzięczny mu byłem, że swym pojawieniem oswobodził mnie z tej niejasnej sytuacji. Skorzystałem też zaraz z tego i unikając dalszych objawów uczuć Lucy, wymknąłem się do parku, by wypalić swą fajkę. Wspominałem już, że korzystałem z większej swobody niż Lucya. Zaufanie ku mnie milionera opierało się na mej własnej trosce o swe bezpieczeństwo. Moim interesem było pozostawać jak najdłużej w tem schronisku, gdzie nikomu na myśl nawet nie przyjdzie mnie szukać. Kilka razy wychodziłem przejść się, aż na drogę za parkiem. Wobec zmiany, jaka ze mną zaszła przez ostrzyżenie włosów i ogolenie się, przez okulary, do jakich zaczynałem się już przyzwyczajać i przez pewną sztywność ruchów, nabytą w towarzystwie Amerykanki, mogłem nie lękać się wcale poznania.

Joe Duncan zaniepokoił się temi wyjściami, które uważał za bezcelową nieroztropność. Pewnego wieczoru rzekł mi też na osobności:

— Brentano, to nie jest rozsądnie!... Pragnąłbym bardzo widzieć, jak pan się bawi, chodzi po przedstawieniach, kabaretach, spaceruje po bulwarach!... Zmuszony jest pan jednak do pewnej ostrożności... Mimo iż pan jest zupełnie zmieniony, ryzyko nie ustało. Wiem, że z papierami mego zmarłego przyjaciela, Jonatana, a zwłaszcza z zapewnieniem mem, iż pan jest rzeczywistym Brentano, może pan łatwo przekonać każdego, iż nie jest pan Barraba-

sem, tem nie mniej wolałbym, by jeszcze mniej było ryzyka... Ja mam pomysł... Gdyby pan tak naprzykład dostał porządnej czarnej ospy, któraby doszczętnie zmierzała pańską twarz...

— Cóż znowu, co za pomysł, chyba pan nie dostał pomieszania zmysłów! — zawołałem oburzony.

Joe Duncan uniósł się również:

— Przecież ja mówię to we własnym pańskim interesie... a nie swoim. Nie przypuszcza pan, bym ja odniósł z tego jaką korzyść. Kiedy to się panu nie podoba, to ja mam inną myśl. Opowiem ją panu później, gdy pan już poślubi Lucyę... później...

— Tak, tak! później lepiej! — potwierdziłem, nie domyślając się w najmniejszej nawet mierze tego, co on zamierzał.

Joe zbyt często się obawiał. Z moją angielską wymową, z wygoloną twarzą i zmienionym wyrazem oczu przez okulary, a zwłaszcza mając w kieszeni eleganckiego ubrania dowody obywatela Brentano z Bostonu, mogłem spotykać się bezpiecznie ze wszystkimi agentami. Nie myślałem też o jego zaleceniach, które uważałem za zbyt ostrożną,



Pozostałem z Lucyą w wielkim salonie rokokowym.

gdym wychodził z salonu, w którym Lucya kilkanaście minutami rozmowy odkryła mi głębię swej mało skomplikowanej duszy. Przyznawałem teraz rację ojcu Williamowi, który chciał przeszkodzić mi w zrobieniu tego strasznego głupstwa. Różniliśmy się tylko co do środków wiodących do tego. Jego sposób był cokolwiek za ostry, wydawał mi się za gwałtownym. Lecz jaki mógł być inny? Nie miałem pod tym względem żadnych złudzeń. Cudem tylko mogłem uniknąć niebezpiecznego przywileju zostania małżonkiem tej, dla której William Duncan żywił tak szkodliwą dla siebie jak i gorącą miłość.

Wszedłem więc do parku, by wypalić małą, z różanego drzewa fajkę, podarek Joe Duncana, która mi zastąpiła mą dawniejszą, ulepioną własnymi rękami i przezemnie wypaloną w piecu... Spacerując, doszedłem do ogrodzenia. Czas był przepiękny, łagodne popołudnie wrześnie, gdy lato już się kończy, a jesień jeszcze nie nadchodzi. Miałem już zawrócić, gdy nagle o kilka kroków przedemną zatrzymała się dorożka. Zostałem jak przybity na miejscu, ogarnięty przestraszeniem na widok wychodzącego z dorożki mego szwagra, adwokata Marcadiana.

Nie zdążyłem zrobić kroku, gdy zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Przepraszam pana. Czy tu mieszka pan Joe Duncan?

— Yes, sir! — odpowiedziałem flegmatycznie, nie ruszając się, zwłaszcza, iż jakby przerażenie odebrało mi władzę w rękach i nogach.

V.

Marcadian stanowił rażącą antytezę Joe Duncana. Przy porównaniu tego wielkiego mężczyzny o czerni wonawej twarzy i włosach, o mięśniach atlety z małą i szczupłą postacią sławnego adwokata, o delikatnej twarzy ocienionej siwiejącymi włosami i faworytami, o dowcipnym uśmiechu, niższość fizyczna tego ostatniego rzuciła się prosto w oczy. Słyszając jednak jak wyraźny i podstępny głos Marcadiana o delikatnym odcieniu przecinał brutalny i urywany głos Joe Duncana, widać było, że tutaj role zostały zamienione, czuło się wyższość tego szczupłego, spokojnego i zimnego człowieka nad apoplektyczną gwałtownością pana domu. Jednym słowem było jasne, że gdyby ci dwaj ludzie mieli zetrzeć się z sobą, odnosiłoby się wtedy wrażenie jak z pojedynku, w którym jeden dla zabezpieczenia się od potężnych pięści drugiego, trzymałby w ręku gietką szpadę i nią odbijał po mistrzowsku zadawane sobie ciosy. Takiego właśnie doznałem wrażenia, gdy ujrzałem jak w salonie rokokowym, zasiadają naprzeciw siebie mój szwagier i mój opatrnościowy gospodarz.

Szedłem w parku za Marcadianem...

Nie czyniłem tego ani przez zuchwalstwo, ani przez bezpożyteczne lekceważenie niebezpieczeństwa... Byłem najzupełniej pewny, że Marcadian mnie nie poznał. Szedłem za nim popychany jakąś nieznaną mi siłą. Było w nim coś z mej nieżyjącej żony, z mego zaginionego syna, z mej opuszczonej córki. Wszelkie względy roztropności znikły wobec siły, której byłem podległy. Na wściekły jednak rzut oka Joe Duncana usunąłem się w przeciwny koniec salonu i siadłem przy małym stoliku, zwracając się plecami do obu rozmawiających. Udałem, że jestem zajęty pisaniem, nadstawiałem jednak uszu, by nie stracić ani jednego słowa.

Swym zwykłym sposobem i z właściwą sobie zimną krwią, Marcadian założył nogę na nogę, wytarł starannie binokle i włożył je sobie na nos.

— Master Duncan — zaczął ostro — wizytę tę odkładałem dość długo z dwóch względów: pierwszy jest natury czysto osobistej i odnosi się do pewnej sprawy rodzinnej, która od dwóch tygodni zajmowała mnie zupełnie; drugi wzgląd jest tego rodzaju, iż taki adwokat jak ja, nie ma zwyczaju fatygować się osobiście i opuszczać swego gabinetu dla zajęcia się wypadkami, na pozór tak drobnym, jak ten, który mnie tu w ostrożności sprowadził.

Przemowa ta była jakby ułożona umyślnie, by pogrążyć nas, Joe Duncana i mnie w kompletnym zdumieniu. Uważać za drobny napotwór ten

wypadek, który go zmusił do tego kroku, jednym słowem mój wypadek, wydało mi się to szczytem ironii. Ze sposobu, w jaki Joe Duncan z zaciśniętymi zębami i podniesionymi do góry brwiami przewracał w palcach bilet wizytowy adwokata, widać było, że nie więcej miał iluzji odemnie o tem, iż policja trafiła na ślad, iż dowiedziała się o jego wizycie na ulicy Michel-Ange, wyprowadziła z tego nieprawdopodobne wnioski i t. d.

Słowa adwokata potwierdziły nas zaraz w tej hipotezie...

— Mając na uwadze pańskie delikatne położenie, a także inną jeszcze sprawę... delikatniejszą... natury czysto osobistej... wobec której adwokat winien się usunąć... by przemówił tylko człowiek prywatny... z tych więc powodów zdecydowałem się po wielu umowach na tę wizytę, który jednak nie powinna pana przestraszać!...

(Ciąg dalszy nastąpi)